Tom IV. Nr. 16.

1. Czerwca. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

STEFAN BATORY, KRÓL POLSKI.

I. Wojna z Moskalem.

Po krótkich rządach owego cudzoziemca Henryka Walezego, znowu się rozpoczęły kłótnie i swary, kogo by tu obrać na króla. Jedni na drugich wygadywali, a nie było też wiele wesołości, boć to już działo się pod jesień w czas brzydki i słotny; że zaś zjechało różnych posłów co niemiara, więc też i nie łatwo przyszło między nimi wybierać.

Aleć właśnie pod on czas rozeszła się bardzo smutna nowina. Otóż na Wołoszczyźnie wybuchła wojna, a że to w sąsiedztwie, więc też i z naszych niektórzy mięszali się tam do tych sporów. Turkowi się to nie podobało że Wołochy nie jego jeno Polskę za pana uznają, więc podbechtał Tatarów, żeby wpadli do naszej ziemi i spustoszyli. Tatarzy na to jak na lato; jakoż wpadli na Ruś, bo im tu było najbliżej, zabrali dwadzieścia tysięcy luda w niewolę, dużo wsi popalili i dobytku nakradli co się tylko dało. Owóż tę smutną nowinę przywieźli ludzie do Warszawy; więc jaki taki zaczął przynaglać coby już raz obrać

króla, bo porządku w całej Polsce ani za grosz, kiedy dzikiemu poganowi takie szkody wyrządzać pozwalają.

Tak więc zaczęli panowie radzić, przyspieszać i łagodzić spory, i wnet stanęło na tem, że polskim królem ma być *Stefan Batory*, książę Siedmiogrodzkiej ziemi, co z Węgrami razem się trzyma. Żeby zaś wszystkim dogodzić, obrano temu panu królewnę *Annę*, siostrę nieboszczyka króla Zygmunta Augusta za żonę, bo się o to przychylni familji Jagiellońskiej Litwini upominali. Więc na to posłowie z Siedmiogrodu zgodzili się, i przysięgli w imieniu swego pana, jako wszystkiego święcie dotrzyma, co naród żąda od niego. Niebawem też nadjechał sam Stefan Batory. Koronowano go zaraz w Krakowie, i tam też ożeniono go z królewną Anną, choć małżeństwo ono nie bardzo przypadało królowi do smaku, bo Anna byłać wprawdzie bardzo cnotliwa i bogobojna niewiasta, ale też i o całe dziesięć lat starsza od niego.

Było tam jeszcze trochę turbacji zaraz na początku, bo miasto Gdańsk nie chciało uznać króla Stefana za swego, aleć to wnet przywiedziono do posłuszeństwa. Na gorszą burzę zanosiło się z Moskalem.

Wiecie już o carze moskiewskim co się zwał Iwan groźny; owóż ten moskal okrutnik wpadł ze swoim wojskiem do Inflant, na północ położonej ziemi, która do Polskiego królestwa należała. A że się tam ludzie takiego zbójeckiego napadu zgoła nie spodziewali, więc wnet pozabierał on różne grody i miasta, siła wsi popalił, i wymordował dużo niewinnego luda.

Myślał sobie car Iwan, że mu to wszystko ujdzie na sucho, a Polacy się zlękną jego wielkiej siły. Aleć nie ciesz się naprzód mój carze moskiewski! Batory to król nie malowany, jak ono francuzkie paniątko, ale ze krwi i z mięsa i z głową nie lada. Nie da on sobie napluć w kaszę, a jak cię chwyci raz i drugi, to tylko trzaski polecą z twoich wojsk wielkich! Jakoż przebrało się wnet cierpliwości królowi Stefanowi; zwołał sejm do Warszawy kędy pieniądze na wojnę uradzono, i zaraz wysłał wojska litewskie na Moskala.

Niedługo po tem wojsku wyruszył i sam król Batory na wojnę; wiódł ze sobą trzydzieści tysięcy wybornego i tęgiego

żołnierza, i stanął niebawem pod miastem Połockiem, które to miasto Moskale jeszcze za Zygmunta Augusta nam wydarli. Obronny był ten Połock, i Moskale bojąc się swojego cesarza siarczyście się też bronili; ale na nic się ta ich obrona nie zdała, bo nasz król przypadł walecznie, i dostał miasta, a z nieprzyjaciół co nie zginęło to wypędził na cztery wiatry. Tak po owym dobrym początku pociągnął Stefan z wojskiem dalej, i wszędzie mu się już wiedło jak z płatka. Lecz łacniej to jednemu człowiekowi własną krzywdę darować, niż królowi, co za pokrzywdzenie swoich niewinnych poddanych się bije; więc i król Batory nie mógł tego Moskalom na sucho przepuścić, że mu siła ludzi w Inflantach pozabijali; tóż idąc pustoszył i palił także ich wsie, a co zuchwalszych także życia pozbawił.

Owóż trafiło się, iż jedna część naszych z hetmanem swoim Janem Zamojskim na czele, przyszła pod miasto zwące się *Wielkie Łuki*, zaś z drugiej strony stanął sam król ze swojem wojskiem. Zamojski przygotuwuje się do bitki, a u króla w namiocie siedzą moskiewscy posłowie i proszą pokornie o pokój, i chcą na wszystko przystać byle on wojska wyciągnął z ich kraju. Ale król Batory nie słucha nawet, jeno woła:

— Ja was nauczę napadać polską ziemię zbójeckim sposobem! — I dał znak żeby na gród uderzyć.

Trudna to była sprawa z tym grodem, bo obronnemi otoczony wałami wielki stawiał opór. A choć były ostrokoły i wieże drewnianne, to przecie tak darnią okryte, że nie można je było podpalić. Moskale bronili się też z niesłychaną zajadłością; a co nasi chcą się na wały posunąć, to Moskal tak w oczy sypie, że się człek wali na człeka. Nareszcie przecie udało się naszym zburzyć wał w jednem miejscu, i obedrzeć wieżę z darni, aleć wtedy ukazało się dopiero okno w tej wieży, z którego Moskale niezmiernie prażyli. Nasi zdążyli jeszcze porzucić pod to okno chrustu słomy i innego paliwa, ale co zapalić to już nie miał kto; każdy drżał o swoją skórę, bo tam kule jak grad lecą i niby muchy brzęczą ci wedle uszu! I gdy tak radzą i szukają ktoby się na to odważył, poskoczy jeden mazur nazwiskiem *Wieloch*, a choć ranny chwycił za snop gorejący, rzucił się naprzód i podłożył ogień.

Otóż od tego ognia zaczęło dopiero całe miasto goreć, a śród popłochu i zamieszania obrońców wnet go też i dobyli nasi, z Zamojskim na czele. A skoro się już spokojnie zrobiło, przywołał król Stefan Wielocha do siebie i udarował go sowicie za jego męztwo, a do tego zrobił go szlachcicem i nazwał *Wielkołuckim* od owego zdobytego grodu.

Tak więc dobrze wszystko szło. Moskal uciekał zewsząd aż się za nim kurzyło, aleć w końcu zabrakło już naszym i pieniędzy i ludzi; toż król widząc, że dalej wojny prowadzić nie można, zebrał się i pojechał do Warszawy na sejm, aby tam świeżo nad potrzebami wojska z panami się naradzić. Aleć tutaj na sejmie dużo ludzi było przeciw temu, żeby wojnę dalej prowadzić, a ci mówili:

— Trzeba się pogodzić ż Iwanem, bo on dobry sąsiad, więc na cóż mu dokuczać!

Lecz gadanie takie pochodziło albo z czystej złości albo też z zazdrości że królowi się tak pięknie wiedzie, bo to z naszej strony było bardzo sprawiedliwie, że Batory gnębił takiego okrutnika, co swoich własnych ludzi tylko uciskał i mordował. I wreszcie przycichnął zaraz jeden i drugi, skoro król blady, schorowany i posiwiały od wojennych trudów, pokazał się na sejmie między radnymi panami. Widzieli zaraz ile to Batory nacierpi się i napracuje dla dobra całego kraju, więc nie sprzeciwiali się już wiele, ale uradzili daninę na dalszą wojnę z Moskalem.

Jakoż wyjechał uradowany król zaraz prosto do wojska, i zastał już Zamojskiego pod znacznem miastem *Pskowem*, kędy się Moskale zawarli i z wałów bronili. Tu dopiero rozpoczęła się długa historja. Z kilku stron nacierali nasi: Polacy i Litwini, takoż i Węgrzy, których król miał ze sobą, lecz wszystko nadaremnie. Nic nie pomogło choć jeden nad drugiego się sadził, a Węgier od Polaka chciał być koniecznie tęższy; nadarmo jedni i drudzy cudów prawie dokazywali, bo w Pskowie było do sześćdziesiąt tysięcy żołnierza, a to jest moc nie mała, więc trudno było ją pożreć.

Tak też oblężenie to trwało już do dwóch miesięcy, a bez nijakiego skutku. Naszym się już przykrzyło dobywać ciągle

jednego, lecz bez tego ani rusz było iść dalej; aleć i na Moskalach drzała skóra, i sam Iwan zębami już ze strachu dzwonił, boć ztąd nie było nad 30 mil do samej *Moskwy*, głównego ich miasta. Inni też dowódzcy z mniejszemi oddziałami naszego wojska pozapędzali się także w głąb moskiewskich krajów, i niezmiernie tam nieprzyjacielowi dokuczali.

Więc Iwan widząc że wojskami nic nie poradzi, bo mu wszędzie kurtę skroją, zaczął używać zdrady, myśląc że mu się powiedzie. Owóż w Niemczech wstąpił właśnie nowy cesarz na tron, więc Iwan wysłał tam swojego powiernego posła, a ten schlebiał cesarzowi niemieckiemu i gadał mu dużo o dobroci i przyjaźni Iwana.

— Przyjaźń między moim panem a tobą cesarzu, jest bardzo potrzebna — mówił ten moskal do niemieckiego cesarza — bo jak uderzycie z dwóch stron na polską ziemię, to ją wam łatwo będzie jak orzech zgnieść. A potem dopiero podacie sobie ręce, razem znowu wypędzicie Turka z jego krajów, i będziecie dwoma wielkiemi monarchami na ziemi.

Nie chciał wtedy jakoś przystać niemiecki cesarz na te rady Iwana, choć siła lat później wedle nich podzielili naszą biedną Ziemię; zaś car widząc że mu się nie udało, chwycił się innych sposobów. Owóż siadł i napisał pięknie i pokornie do samego Ojca świętego w Rzymie, że byle go pogodził z królem polskim Batorym, to on zaraz z całym narodem na wiarę katolicką przejdzie, bo jak wiecie Moskwa i dotychczas pod Papieża tak jak my nie należy, ale swojego cara ma za głowę państwa i kościoła. Ucieszył się Ojciec święty tem pisaniem Iwana, uwierzywszy we wszystko, co ten okrutnik biedą przyciśnięty tam nałgał i naobiecywał, i wysłał niebawem jednego księdza Jezuitę do Moskwy, żeby tam załatwił tę całą sprawę.

Otóż temu Jezuicie udało się dopiero pogodzić króla z carem. Batory był też tem łatwiejszy do zgody, bo to już ciężka zima nadeszła, a nasze wojsko stało ciągle pod Pskowem we wielkim niedostatku i nędzy, marznąc na trzaskącym mrozie. Jakoż niebawem spisany został między Moskwą a Polską spokój na lat dziesięć, a wedle tego przypadły do naszej ziemi całe Inflanty, a także siła miast i grodów zdobytych. Tak więc nasi

zyskali na tem dobrze i sprawili jeszcze pod Pskowem chuczną biesiadę moskiewskim dowódzcom; ale co ksiądz Jezuita to się dopiero teraz poznał, że go car na dudka wystrychnął, bo nietylko że nie przeszedł na katolika, ale sobie znowu zaczął jak wściekły hulać i dokazywać. W tej to wściekłości zabił Iwan syna swojego własną ręką, ale niedługo potem wyzionął czarną swą duszę, bez żadnej skruchy i spowiedzi, a owszem z przekleństwami na grzesznych ustach.

Nie zdołam wam tu opisać ile było w Polsce radości z tej tak szczęśliwie zakończonej wojny. Kędy tylko wojsko wracało, a Batory na przedzie na cisawym koniu, to lud wylęgał całemi gromadami i witał go jak wybawcę, tak sława jego wojennych czynów szeroko się rozeszła. A skoro król przyjechał do Warszawy, to nie mógł przecisnąć się przez radośne tłumy, a gwar był wielki od okrzyków uciechy, i głos wszystkich dzwonów warszawskich rozchodził się daleko. Było tam kilku panów niechętnych Batoremu, jako że król ten sprawiedliwie ale ostro sobie poczynał i żadnych samowolnych wybryków płazem nie przepuszczał: alеć skoro ujrzeli jak go tłumy ludu witają, tak przycichli w końcu. I nie mogło być inaczej, boć każdy łatwo poznał, że z Batorego będzie król nielada, kiedy zaraz z początku uciążliwa pracą i krwawemi wojnami tyle chwały polskiemu narodowi przysporzył, i w ziemi swej nieprzyjaciołom uszkodzić się nie dał.

Stary nędzarz.

Chodzę ja chodzę jak dzionek długi,
Z wioski do wioski, z chaty do chaty;
Jeden nakarmi, napoi drugi,
Trzeci obdarzy, czem kto bogaty,
I choć do grobu człek się przeważa,
Ludzie starego żywią nędzarza.

Płachta na plecach łatami świeci,
Torba płócienna i kij sękaty!
Tem-em ja tylko w świecie bogaty.
A chociaż matki straszą mną dzieci,

To i nakarmią biedn go dziada,
Co im o różnych rzeczach powiada.

A niechno odpust w jakim kościele,
Lub dzień zaduszny: przed kruchtą staję,
Grosza się wtedy nazbiera wiele.
Każden co może daje i daje....
Za zmarłych, krewnych, lub braci duszę,
Co tam czyszczowe cierpią katusze.

Nieraz gdy kości stare utrudzę,
Siędę pod krzyżem zmówić pacierze,
To sen zmęczone kości rozbierze,
Że się nad rankiem aże obudzę!
Rozstajna droga! ot, miły Boże,
Starego dziada jedyne łoże!

I dzień tak za dniem mija i mija....
Niedługo ręka nie dźwignie kija,
Pod krzyżem zasnę, zasnę na wieki,
I nikt nie zamknie starca powieki;
Dół mi wykopią pośród cmętarza,
I tak się skończy żywot nędzarza!

W. B. K.

Dziadek pod figurą.

Gdzie się to działo co mam opowiedzieć, nie wyjawię wam tego, bo jeszcze żyje kilku ludzi takich, coby im było z przykrością, że się o ich krewniaku pisze, i poczciwe ich imie roznosi po świecie. Więc wam tego nie powiem, ale wierzcie słowom moim, bo jak to słonko świecące na niebie, tak wszystko będzie święta prawda co tu przeczytacie.

Otóż przeszłego roku po interesie wypadło mi jechać na Podlasie. Kiedy przyszło do wyjazdu, żonisko poczciwe aż się spłakało, a dzieciska pouczepiały się wasągu i tak przez całą wieś przeprowadziły. We mnie także serce nie kamień, więc i w moich oczach łzy zabłyszczały, alem je prędko obtarł, bo rzekłem sobie:

— Wojtusiu nie bądź babą; Podlasie przecież nie Ukraina.

Ucałowawszy zatem dziatki, pobłogosławiwszy, ruszyłem w drogę i tego samego jeszcze dnia przeprawiłem się przez Wisłę. Słonko już się chyliło ku zachodowi, wiatr jakby tchnienie człeka, przelatywał po wykłoszonem życie, ze wszystkich stron rozlegało się ryczenie bydła powracającego z paszy do domu, a skowronki i inne różne ptastwo tak świegotało, tak prześlicznie wyśpiewywało, że już piękniejszego śpiewania pewno nie spotka na świecie. Przysłuchiwałem się więc temu wszystkiemu, a oczami rzucałem i tu i owdzie, bo świat wszędzie jest taki śliczny, tak go ładnym Bóg stworzył, że się człek i nacieszyć i napatrzyć dosyć nie może.

Kiedy wreszcie słonko skryło się za lasem, i ptaszkowie milknąć zaczęli, śmignąłem biczem żeby troszkę przyspieszyć, bo jeszcze dobre pół mili było do wsi Kowlinka, w której miałem zanocować, i wydrapawszy się pod górę zacząłem się spuszczać w dolinę, zasłaną bujnemi i wielkiemi łąkami. Przypatruję się więc, i tylko westchnę kiedy niekiedy, bo u nas o paszę strasznie skąpo, chociaż znowu nie ma tyle piasku, i kiedy w głowie rachuję ile to fur można mieć siana i ile bydła na niem utrzymać, dało mi się słyszeć jakieś śpiewanie jakby nabożne, ale żadnym sposobem nie mogłem zmiarkować zkądby wychodziło. Przypatruję się więc, nadsłuchuję a tu ciągle śpiewa, śpiewa, a żadnego człowieka nie widzę: myślę sobie zatem, czy czary, czy co? i zatrzymawszy konie zszedłem z wozu, żeby się przekonać coby to było takiego.

Zaraz przy drodze znajdowała się spora kępa różnej drzewiny, ale tak gęsto przy sobie stojącej, że zdaleka zdawała się jakby duża kopa siana. Ze środka tych to drzew wychodził ów śpiew nabożny; zdjęty przeto ciekawością obszedłem je w koło, i małą wydeptaną od pola ścieżynką wszedłem do środka.

Ale zaledwie po trzech krokach, zatrzymałem się zaraz, bo ujrzałem na małym żwirowatym pagórku, niezarosłym nawet jedną trawką, krzyż cały wymurowany, a pod nim klęczącego dziadka z torbą przez plecy przewieszoną, i opartego na sękatym kiju.

Na łysej głowie staruszka powiewało troszkę siwiuteńkich

włosów, a kornie nachylony śpiewał z takiem nabożeństwem, że nawet nie postrzegł mego przybycia. Zdjąłem więc i ja czapkę i uklękłem nie daleko dziadka, żeby odmówić pacierz i potem obdarzyć go jaką jałmużną. Dziadek zaraz umilkł, zwrócił ku mnie głowę, i wtenczas z wielkiem zadziwieniem spostrzegłem że był niewidomy.

— To wy dziadku nie widzicie? — zapytałem staruszka.

— Nie widzę mój człowieku — odrzekł dziadek z pokorą, za winy to widać i grzechy Bóg zasłonił dla oczów moich świat przez siebie stworzony. Ale nie sarkam na to, Bóg tak chciał, niech będzie święte Imie Jego pochwalone. Nie rozum to ludzki, żeby wymiarkować dlaczego co Bóg w mądrości swojej postanowił.

— Święta prawda mój dziadku; ale jakżeście wy tu przyszli, jak odejdziecie, kiedy nie widzę koło was nikogo, a tu noc się zbliża a do wsi daleko?

— Wiem, wiem moje dziecko, ale noc mnie nie straszy bo w oczach moich nawet w samo południe ciemno. Chodzić zaś mogę bez prowadziciela. Bóg dobry odjął oczy, ale za to dał pamięć i takie w głowie pomiarkowanie, że kierować się niem mogę jakby oczami. Już to blisko pięć dziesiątków lat sam sobie wystarczam w mojej przewłóczce po świecie, a jeszcze nigdy nie zbłądziłem, więc i teraz pomału zatyrtolę się do wsi, żeby odpocząć nogom i powitać się z krewniakami.

— To wy z Kowlinka rodzic jesteście?

— Z Kowlinka moje dziecko, w nim się wychowałem, w nim straciłem oczy, i w nim pierwszy raz w życiu wyszedłem z torbą na plecach, a z ręką wyciągniętą o jałmużnę. Bóg przynajmniej daje zdrowie i siły, więc mam w Bogu nadzieję, że wymodlę przebaczenie, za grzechy jakich się w życiu swojem dopuściłem.

— Powiedzcie mi mój dziadku, dlaczego krzyż postawiony wpośród drzewiny, że go nic od drogi nie widać? Dlaczego w około niego nawet zdziebła trawy nie można dopatrzyć?

— Moje dziecko, długa to historya, ale siadajmy to opowiem ci ją tak, jak mi ją starzy ludzie opowiedzieli co znali tych ludzi jacy wchodzą do tej rzeczy. Ze wszystkiego można się wiele

nauczyć, ale najwięcej z pilnego przepatrywania się między ludźmi i rozważania, co z czego i dlaczego sie stało. Ale ludzie mało na to dają baczenia i choć zawsze i wszędzie można przekonać się wyraźnie, że Bóg wszystko widzi i złego prędzej później nie przepuści, jednak złe nie ginie na świecie i złych prawie nie ubywa, a nawet kto wie czy nie przybywa. Słuchaj więc moje dziecko.

Zasiadłem zatem pod krzyżem, na stopniach kamiennych, koło mnie dziadek się usadowił i pomyślawszy troszkę tak mówił:

— W tem miejscu gdzie siedzimy stała kiedyś drewniana porządna chałupa, a w niej mieszkał czynszowy osadnik Stanisław, człowiek siwiuteńki, poważny, i szanowany na całą okolicę. Miał dwoje dzieci, córkę i syna, i gdy córkę wywianowawszy jak wypada, wydał w świat za gospodarza a nawet człowieka nie z prostego stanu: syna zatrzymał przy sobie, i razem z nim obrządzał się około całego gospodarstwa. A było tam i dobytku i porządku wszelakiego siła co tylko gospodarzowi przynależy, przytem mówiono, że stary grube ma pieniądze, to też syna wyedukował jak tylko mógł najpiękniej: chłopakowi pióro w ręku tylko się migało, a w czytaniu taki był biegły, że tylko rzucił okiem na książkę, jużcić zaraz poznał co tam stało wydrukowane.

Póki żył ojciec chłopak do wszystkiego brał się akuratnie, a ojciec patrząc na jego starunek i zabiegi w każdej rzeczy, codzień dziękował Bogu, że mu dał syna z takim rozumnym statkiem, i że teraz pewny jest iż praca całego jego życia nie pójdzie na marność.

Ludzie jednak co bliżej znali młodego Franka, to znowu powiadali, że Franek ojcowizny nie straci i będzie ją szanował jak wypada, ale nie uszanuje poczciwego nazwiska swojego ojca, bo strasznie na grosz chciwy i pożerny.

Kiedy starego Stanisława Bóg wreszcie powołał do swojej chwały, Franek sprawił mu pogrzeb jak wypada, uczęstował ludzi co się pościągali z różnych stron dla oddania ostatniej zmarłemu posługi, ale jak się wszystkiem zarządził, to tego niewiadomo. Dosyć że co każdy spodziewał się grubych po niebo-

szczyku pieniędzy, wójt ze świadkami, po przejrzeniu i spisaniu wszystkiego co zostało, nie znalazł ani grosiczka. Powołano więc do przysięgi wszystkich domowników i Franka z nimi, czy czego nie wzięli, lub czy nie widzieli, aby kto co zabrał, ale i ludzie przysięgli i Franek przysiągł, i nic zupełnie nie wykryto.

Uważano tylko, że od przysięgi, jakoś Frankowi zmieniło się spojrzenie i już oczami nie patrzał śmiało po ludziach, tylko wodził po ziemi, po kątach, jakby bał się żeby przez oczy nie zajrzano mu do duszy. Nadto od tego czasu widocznie unikał ludzi, kiedy zaś przyszedł w święto do kościoła, to się chował w najciemniejszy kącik i tak klęcząc modlił się z książki, ale tylko gębą, bo oczy to mu jak fruczki latały po ludziach, a jak się spotkał z cudzemi oczami, to zaraz spuszczał swoje ku ziemi. Więc modlitwa taka nic nie warta, bo jedno westchnienie do Boga, a szczere, serdeczne i wypowiedziane z głębi duszy i serca, to więcej znaczy jak takie choćby całodzienne modlenie się.

W parę miesięcy po śmierci ojca, zimową porą przed samym wieczorem, zajechał przed dom Franka wasążek z dwoma małemi szkapkami, a z niego wysiadła młoda ale strasznie wybiedzona kobieta, i tuląc dwoje malutkich dziatek do piersi, drząc od zimna zapukała do drzwi. Po długiem czekaniu mrucząc i narzekając sam Franek otworzył drzwi, lecz zaledwie rzucił spojrzenie na stojącą z dziatkami kobietę, cofnął się nagle i wyrzekł przytłumionym głosem, jakby do siebie:

— Jadwiga! siostra! witaj..... witaj siostrzyczko pod naszym.... to jest po moim dachem. Chodź do środka, tam przy ogniu ogrzejesz się przynajmniej.

Jadwiga przeszedłszy w milczeniu jedną i drugą izbę, w których, otoczona opieką i miłością zmarłego ojca była niegdyś tak swobodną i szczęśliwą, siadając blisko komina, zalała się serdecznemi łzami i tak załkała, że słowa nie mogła przemówić. Franek na płacz ten widocznie się niecierpliwił, to wstawał, to przechodził się, to cmokał ustami, albo skrobał się po głowie, i gdy cokolwiek się Jadwiga w płaczu uspokoiła, stanął na przeciw niej i zapytał troszkę z niecierpliwością:

— Moja siostro, zostawmy płacz na boku; bo nam nic z niego nie przyjdzie, a powiedz mi otwarcie po coś do mnie przyjechała?

Jadwiga szybko podniosła głowę, i tak się pytaniem tem zadziwiła, że nawet nie wiedziała co ma odpowiedzieć. Franek więc mówił dalej:

— Bo jeżeli myślisz moja siostro, że ci się po nieboszczyku rodzicu należą jakie sukcesje, to strasznie się mylisz.

— Mój bracie — odrzekła Jadwiga — głównie przyjechałam żeby cię zobaczyć, powitać i razem z tobą zapłakać nad grobem ojca. Przytem i o tem chciałam się rozmówić co zostało po ojcu.....

— Nic się nie zostało dla ciebie — przerwał już z gniewem Franek — małoś to wybrała za życia ojca, jeszcze i teraz chcesz zabierać?

Jadwiga tak tem wszystkiem była odurzona, że sama nie wiedziała czy to sen czy na jawie. Więc siedziała jak wryta z oczami w brata wlepionemi, a ten mówił dalej:

— Pracowałem przy ojcu, zabiegałem, nie na to żeby potem dać się krzywdzić. Ty moja siostro wzięłaś wiano nieladajakie, a ja pracowałem przy gospodarstwie: ciebie potem każdego roku ojciec wspierał, a ja pracował: wyście sobie rozkoszowali z nieboszczykiem szwagrem a ja pracował: wyście stracili wszystko, a ja pracą i statkiem utrzymałem gospodarstwo, i oganiałem się biedzie i wyciąganiu na was do ostatniego grosza. Ty więc teraz nie masz wiele, ale ja przynajmniej tyle że z głodu nie umrę.....

— Powiedz bracie że nic nie mam — z płaczem przerwała Jadwiga — tylko nędzę w domu, smutek wieczysty w sercu i tych dwoje nieszczęśliwych dziatek.

— A mnie co do tego? Czy to ja po ojcu zabrał jakie pieniądze, czy co?

— Jednak ludzie powiadają....

— Co powiadają, co?

— Że po ojcu zostały pieniądze — odrzekła nieśmiało Jadwiga, i chciała mówić dalej, ale Franek skoczył jak oparzony,

oczy mu się zaiskrzyły jak węgle rozjarzone, i zawołał strasznym prawie nie ludzkim głosem:

— Zostały pieniądze! jakie pieniądze? kto ich widział?

— Ludzie tak powiadają....

— Ludzie, ludzie! Moja przysięga więcej znaczy jak ludzkie języki.

— Jakto? więc przysiągłeś? — z największym przestrachem zapytała Jadwiga.

— Przysiągłem! — grobowym głosem odrzekł Franek i oczy mu kołem stanęły.

— A ja nieszczęśliwa! — zawołała żałośnie Jadwiga, — i ty bracie śmiałeś to zrobić?

— Przysiągłem—mruknął Franek niby w obłąkaniu—przysiągłem....

— I nie boisz się kary Bożej?

— Co? ty mnie będziesz straszyć karą Bożą? — zawołał Franek wyskakując na środek izby jak szalony. — Won! z mego domu, won! niech mi tu noga twoja nie postoi, won!

I to rzekłszy, złapał brat siostrę za rękę, ciągnąc ją gwałtem ku drzwiom razem z płaczącemi dziećmi, co jak ptaszki pouczepiawszy się matki kryły się z płaczem w fałdy sukni przed strasznym gniewem rodzonego wuja.

— Bracie! bracie! — opierając się mówiła Jadwiga — jeżeli nie zważasz na mnie, to miej litość nad temi biednemi sierotami. Ja biedna, słaba, przeziębnięta podróżą..... nie zabijaj nas..... nie zabijaj....

— Won! won! z mego domu — wołał ciągle Franek, i nie zważając na płacz i jęk matki z dziatkami, wyrzucił je na podwórze i sam drzwi zamknął na zasuwę.

Od tego czasu Franek stał się jak wilk między ludźmi, i tylko słyszano go jak ciągle szeptał do siebie:

— Siostra rodzona, a straszyła mię karą Bożą.... ja pracował i przysiągłem... kara Boża... kara Boża — i tak mu te słowa stały zawsze w myśli, że choć przy ludziach, to często szepnął: kara Boża, i wzdrygnął się przytem jak w febrze.

Ale widać że to na prawdę była kara Boża, bo gdy Jadwiga później ze zmartwienia i z nędzy, razem z dziatkami prze-

ziębniętemi w drodze umarła, Frankowi spaliły się naprzód wszystkie zabudowania zaraz po żniwach, z całym dobytkiem, tak że ze wszystkiego została tylko kupa gruzów i niedopalonych głowni, a on sam dostał jakby pomięszania rozumu, bo sprzedawszy grunta, włóczył się potem od wsi do wsi, i nic więcej nie umiał powiedzieć, żeby w tem nie było słów: kara Boża! I tak żył kilkanaście lat, zestarzał się, wyłysiał, a gdy rozmarnował to co wziął za grunta, żywił się miłosierdziem ludzkiem, ciągle w obłąkaniu powtarzając: kara Boża. Aż przyszło na niego upamiętanie, bo gdy wprzódy, nie zajrzał nawet do kościoła, a o świętej spowiedzi nawet nie pomyślał: razu jednego zobaczono go leżącego krzyżem przed wielkim ołtarzem, a potem spowiadającego się. Co zeznał przy spowiedzi, to nikomu nie wiadomo, ale widać że musiał zeznać wszystko, bo się chwycił pracy, i tak spokorniał, tak się uciszył, że każdy pragnął go do roboty, bo lepszego i spokojniejszego najemnika nad niego nie było. I tak pracował ciągle przez lat pięć, potem zakupił cegły o pół mili od swego dawnego gospodarstwa, i na plecach zaczął je znosić tu w to miejsce gdzie teraz siedzimy. Potem znosił wapno, piasek, wodę, i w końcu wziął się do murowania krzyża, z jednym tylko mularzem, ale ten tylko pomagał i zarządzał robotą, a Franek murował.

Kiedy robota została ukończoną, ten sam ksiądz proboszcz co go wysłuchał spowiedzi, zjechał z wielką uroczystością, zgromadziło się bardzo wiele ludzi, i postawiony krzyż został poświęcony. Franek podczas całej ceremonji kościelnej klęczał ze zwieszoną głową i tak płakał, że zdało się iż we łzach cały się rozpłynie. Potem obrócił się do ludzi i rzekł:

— Bóg wam zapłać moi ludzie za waszą poczciwość, żeście kroków swoich na to poświęcenie nie żałowali. Teraz Ojcze duchowny, pobłogosław nam wszystkim, i naucz ludzi, że krzywoprzysięztwa i krzywdy sierot nigdy Bóg nie przebacza. Przytem proszę was, abyście w modłach swoich błagali Boga o przebaczenie wszystkiego złego co wyrządziłem siostrze mej Jadwidze, bo ja wielki grzesznik, nie śmiem jeszcze o to Boga prosić. Pamiętajcie, że największe na świecie bogactwo czyste sumienie. Ja dla majątku naprzód przysięgą Boga obraziłem, a

potem wypędziłem siostrę, i cóż zyskałem na tem? Oto straciłem wszystko, a zgryzota sumienia odebrała mi rozum. Ludzie aż zapłakali ze skruchy i żalu, bo niejeden spojrzał w siebie i zobaczył, że i on także grzeszny człowiek.

Od tego czasu Franek gdzieś się podział, tak że o nim nic nie wiedziano, aż dopiero w rok potem w sam dzień Śtej Jadwigi, zobaczono pod krzyżem jakiegoś zakonnika od Ojców Bernardynów, klęczącego i zatopionego w głębokiej modlitwie. Był to Franek; dla ubłagania bowiem miłosierdzia Boskiego zapisał się na braciszka do zakonu na całe życie, i prosił jak o największą łaskę, żeby go w klasztorze do najcięższych posług używano. I długo potem, bo jakie ze dwadzieścia lat widywano go pod tym samym krzyżem, ale zawsze tylko w sam dzień Śtej Jadwigi, aż jednego roku nie zobaczono go wcale i dowiedziano się, że spokojnie doczekawszy się blisko siedemdziesięciu lat, oddał Bogu ducha i przeszedł z duszą do lepszego życia. Że zaś modlitwa jego była bardzo gorąca, łzy palące jak ogień, a żałość niezmierna: więc ludzie powiedzieli, że od łez aż spaliła się ziemia do koła krzyża, i pomału przestała porastać trawą. Dlatego zaś między dużą drzewiną krzyż ten postawił, bo powiedział że stawia go na przebłaganie Boga, a nie dla chwalenia ludzkiego, umyślnie zaś wyfundował go na dawnem swem gospodarstwie, żeby gadka o jego złości a potem upamiętaniu poszła między ludzi i służyła każdemu za naukę, jak się strzedz należy obrazy Pana Boga i wszelkiego krzywdzicielstwa.

Na tem dziadek skończył swoje opowiadanie, a ja wysłuchawszy ukląkłem, i zmówiłem pacierz za duszę Franciszka i Jadwigi.

(*Km.*)

RÓŻNOŚCI.

Jak poznać ile koń ma lat. Jak wiek koni poznać, to każdy gospodarz wie; dla tego też takich zwyczajnych rzeczy podawać wam nie myślę. Lecz wiek koni można poznać z zębów tylko do dziewięciu lat; późniejsze lata nadzwyczajnie trudno, a nawet i niepodobna z pewnością oznaczyć. Jakże tu sobie poradzić?

Spostrzegli ludzie, że koń po dziewięciu latach dostaje fałdę na p o w i e c e, i że następnie co rok jedna fałda mu przybywa. Tak więc koń z jedną fałdą ma lat 10; z dwoma 11; z trzema 12; z czterema 13, i tak coraz dalej. Uważajcie na to dobrze przy kupowaniu starszych koni, abyście się nie oszukali; bo stare zęby można przez piłowanie za młodsze udać.

Lecz mój sąsiad, to dobry gospodarz, i znawca na koniach nie lada, że go byle kto nie poprawi. Ten mi powiadał, że wiek starszych koni poznaje na p ę t l i n i e. Trzeba najpierw włosy tam wyciąć, i uważać, ile koń ma fałd na pętlinie. Koń po 10 latach dostaje tam jedną fałdę, i tak corok mu jedna tam fałda przybywa. Tym sposobem koń z dwoma fałdami ma lat 12, z trzema ma lat 13, i tak coraz dalej.

Miarkujcież sobie to dobrze przy handlu na konie.

Kto na prawdę bogaty? Wielu mniema, że kto ma pieniądze, ten ma majątek, ten jest bogatym, jakoby bogactwo zasadzało się na pieniądzach. Można być bogatym, a nie mieć pieniędzy. — Gospodarz, który ma ziemię żyzną, bydło w dobrej tuszy, budynki porządne, stodołę i komorę nie próżną, a przytem długu ani grosza, taki gospodarz, choćby i nie miał pieniędzy, jest bogaty. — Wyrobnik, który zarabia więcej, jak spotrzebuje z żoną i dziećmi, jest bogaty. — Rzemieślnik, który pilnuje swego rzemiosła, ma dostatek materjału, i pracuje ciągle, czy to na urząd, czy to na zapas, a również nie ma długu, także jest bogaty, choćby i nie miał pieniędzy.

Niejeden zaś ma wiele pieniędzy, a jest ubogim. Bo jeżeli z tych pieniędzy żyje, a nie pracuje, nie ma sposobu do życia żadnego, niczego się nie nauczył, i nic nie umie, to te pieniądze przeje, i popadnie w nędzę. A jeżeli pracuje temi pieniędzmi, to jest daje je na lichwę, i żyje, i bogaci się cudzą krzywdą, oj taki nie bogaty, choćby miał tyle pieniędzy, ileby sam chciał; ubogi on, i bardzo ubogi, bo za pieniądze sprzedał uczciwość, sumienie, sprzedał za krzywdę ludzką swą duszę.

Jedyny jest tylko sposob poczciwego nabywania majątku, p r a c a i przestawanie na swojem. Praca jest źródłem bogactwa.

Tylko praca
nas zbogaca.

A jednak niejeden pracuje, i pracuje od rana do wieczora, nawet i w nocy i niedośpi, a pracuje, a jednak jest biedny, nie może przyjśdź do niczego. Czemu to? Na to krótka odpowiedź: bo co zarobi, to spotrzebuje. Nie zrobi ten majątku, kto wszystko przeje, co zapracuje. Nie dosyć pracować na utrzymanie życia, ale albo więcej potrzeba pracować niż spotrzebujemy; albo też mniej trzeba nam wydawać, niżeliśmy zarobili.

Praca zdobywa majątek, a oszczędność go zachowuje.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.